



Zbliżała się północ z drugiego na trzeciego września 1991 r. Do dwuosobowego pokoju w szpitalu Przemienienia Pańskiego na warszawskiej Pradze, gdzie leżałem dotknięty nieuleczalną chorobą, wszedł dyżurny lekarz, informując, że pewnie się ucieszę, bo za chwilę dołączy do mnie znana mi postać ze świata literatury i muzyki. Na szpitalnym wózku przywieziono Stefana Kisielewskiego „Kisiela”, którego pomagał położyć na łóżku syn Jerzy.

Rano, kiedy otworzył oczy, przyjrzał mi się badawczo i powiedział: „Panie Bujak, skąd pan się tu wziął?”

Byłem nieco podobny do legendarnego solidarnościowca Zbigniewa Bujaka, skutecznie ukrywającego się w stanie wojennym przed komunistycznymi służbami. Przedstawiłem się. Byłem wówczas publicystą tygodnika „Przekrój” i początkującym pisarzem z dorobkiem dwóch książek. Uprzedziłem, że chciałbym w czasie naszego wspólnego pobytu rozmawiać na wiele tematów i robić notatki z rozmów, gdyż jestem stałym czytelnikiem jego felietonów i twórczości. Stefan Kisielewski wyraził zgodę. Po latach sięgnąłem do sporządzonych wówczas notatek.

Zaczęliśmy rozmowy od lat dziecięcych, młodszych i o wyborze zainteresowań.

MACIEJ KLEDZIK: *Panie Stefanie, leżymy obok siebie i co chwila zaglądamy do nas różni goście. Jedni przychodzą do znakomitego muzyka i kompozytora, inni do wielkiego pisarza, jeszcze inni do wybitnego felietonisty i publicysty politycznego. Czy nie czuje się pan rozstrojony? Czy nie wolałby pan być znakomitym kompozytorem i muzykiem, jak chociażby pana kolega z Konserwatorium Muzycznego Witold Lutosławski?*

STEFAN KISIELEWSKI: Zacząłem bardzo późno naukę muzyki. Nie mieliśmy w domu instrumentów, a moi rodzice nie rozumieli, dlaczego się ich domagałem i do nich paliłem. Mając dziesięć lat, zacząłem się uczyć grać na pianinie, nie posiadając go w domu. Chodziłem grać do znajomych. Zamiłowanie absolutne. Wstąpiłem do Konserwatorium. Zrobiłem trzy dyplomy, w tym, nie wiadomo po co, z fortepianu.

Zaczynał pan od pianina i fortepianu.

Fortepian wymaga strasznej pracy. Ale zapaliłem się do kompozycji, a przy okazji ukończyłem teorię, i to był trzeci dyplom. A czy pan wie – zwrócił się do mnie z pytaniem – że równolegle przez dwa lata

Po co mi była popularność



Maciej Kledzik

W 1991 r. w szpitalu odbyłem ostatnie rozmowy ze Stefanem Kisielewskim



FOT. MIROSŁAW STANKIEWICZ/PAP



studiowałem jeszcze filologię i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim?

Studiując, napisałem kilka recenzji muzycznych w piśmie „Echo Tygodnia” wydawanym przez redaktora Grubińskiego. Potem zacząłem pisać w „Muzyce Polskiej”. I nagle rzucili się na mnie, tłumacząc, że potrzeba im takiego młodego, który pisałby recenzje muzyczne. I zacząłem pracować jako sekretarz redakcji w „Muzyce Polskiej”.

Który to był rok?

Recenzje zacząłem pisać w 1935 r.

To znaczy, że w tym roku rozdzieliły się pana zainteresowania zawodowe?

Wcześniej, ale na serio w 1935 r.

Kosztę gry i czasu na komponowanie?

Muzyka była dla mnie najważniejsza, ale zrozumiałem, że trzeba odłożyć fortepian na trochę, a nad kompozycją wytrwale pracować. Któregoś dnia przyszedł kolega Małcużyński i namówił mnie do współpracy z pismem „Bunt Młodych”. Powiedział, że tam nikt o muzyce nie pisze, a on zna redaktora, pana Giedroycia. Pamiętam jak dziś, Giedroyc powiedział: „Jestem głuchy jak pień, w ogóle nic nie słyszę, ale jestem pewien, że będzie pan pisał świetnie”.

Pochlebił mi. „Bunt Młodych” był dwutygodnikiem, potem zmienił się w tygodnik „Polityka”. Redagowali go konserwatyści – bracia Pruszyńscy, bracia Bocheńscy i im podobni. Ale ja w „Buncie Młodych” nie pisałem o muzyce.

A o czym pan pisał?

O polityce. Giedroyc przyjął mnie jako recenzenta muzycznego, a ja napisałem tylko jeden, jedyny tekst, zatytułowany „Coś o muzyce”.

A co na to naczelny?

Redaktor Giedroyc płacił każdemu od razu po 30 zł za tekst, bez względu na temat i objętość. Pisałem o tym, co mnie wtedy interesowało. O niezależności sztuki, o polityce.

I wszystko panu drukowali?

Raz tylko, w 1937 r., nie chcieli wydrukować jednego artykułu. Jakoś tak sanacja doszła do wniosku, że endecja ma za duże wpływy, że trzeba zacząć pracować z młodzieżą. Pułkownik Koc, który miał się zająć pracą z młodzieżą, wygłosił proendeckie przemówienie. A ja akurat napisałem artykuł wcale nie o tym, pod tytułem: „Dlaczego piłsudczycy nie kierują życiem Polski?”.

Zarzucałem im brak ideologii, co jest powodem, że endecy i komuniści zaczynają zyskiwać sympatię społeczeństwa.

Zaniosłem tekst do redakcji. Redaktor Giedroyc przeczytał go i powiedział, że nie umieści, ponieważ jest on przeciwko Kocowi. Ale wtedy autor musiał wyrazić zgodę na nieumieszczenie tekstu. Takie miał prawo. Zaprośili mnie do redakcji i trzy godziny truli, żebym wyraził zgodę. Zgodziłem się w końcu. A dwa tygodnie później ze zdumieniem ujrzałem mój odrzucony tekst wydrukowany na pierwszej stronie jako wstępniak.

Co się stało?

Śmigły-Rydz się wściekł, wyrzucił Koca, a Giedroyc natychmiast wykorzystał mój artykuł.

Co zajmowało panu wówczas więcej czasu: pisanie czy komponowanie?

Przez cały czas komponowałem.

Rozmowy nasze przerywane były zabiegami i transfuzjami krwi. Zauważyłem, że stan chorego, który otrzymywał tę samą grupę krwi, polepszał się lub pogarszał. Zwróciłem uwagę lekarzowi prowadzącemu. Odpowiedział, że on też to widzi, ale krew pochodzi od różnych dawców i jej jakość jest lepsza lub gorsza.

Następnego dnia pan Stefan sam wrócił do przerwanej wątku.

STEFAN KISIELEWSKI: W 1938 r. wyjechałem do Paryża.

MACIEJ KLEDZIK: *Na stypendium?*

Nie miałem tego szczęścia. Tak się złożyło, że mój ojciec prowadził w Polskim Radiu audycję „Znam tylko Twoje listy”. Od jednej ze swoich słuchaczek wielbiciel otrzymał zapis pieniężny, który przeznaczył na moje kształcenie w Paryżu. Komponowałem tam jak szalony, a w wolnych chwilach pisałem do tygodnika „Pion” korespondencje muzyczne. Po powrocie zostałem powołany do odbycia służby wojskowej w Nowowilejce. Na krótko. Wróciłem do Warszawy w marcu 1939 r. Otrzymałem posadę referenta muzycznego w Programie 2 Polskiego Radia. Przyszła wojna, nastąpiła okupacja.

Utrzymywałem się, grając na pianinie w szkole baletu i gimnastyki, której właścicielem był przedwojenny wicemistrz Europy w pięcioboju nowoczesnym, Szelestowski. Błagier okropny. Znajomi Niemcy, których poznał na olimpiadzie, pozwolili mu założyć szkołę. Po tej pracy dawałem mnóstwo lekcji i zaangażowany byłem w konspirację, w Delegaturze Rządu na Kraj, w Wydziale Kultury.



■ *Nie tęsknił pan do pisania?*

W 1942 r. zacząłem pisać powieść. Namówił mnie Miłosz. Mój ojciec potwornie się zdziwił, gdy mu o tym powiedziałem. Dałem jej tytuł – „Sprzysiężenie”.

Muzyka i polityka uzupełnione zostały pisarstwem. Czuł się pan usatysfakcjonowany?

No właśnie. Zmęczyłem tę moją pierwszą powieść w 1944 r. Kupił ją Ryńca.

Władysław Ryńca, który po zakończeniu wojny kierował wydawnictwem Czytelnik w Krakowie?

Tak. Jego sekretarzem do spraw literackich był Czesław Miłosz. Rękopis ocalał, bo w czasie powstania znalazł się w Piastowie. Czytał pan „Sprzysiężenie”?
Nie.

To jest opowieść o facecie, który nie może mieć stosunków z dziewczynami. Akcja dzieje się przed wojną i w czasie wojny. Takie dziwactwo. O dziwo, o tej mojej pierwszej książce krytycy najwięcej mówią. Ryńca wydał po wojnie „Sprzysiężenie” w swoim prywatnym wydawnictwie. Namówił go, żeby wydał też Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce”. Trzytysięczny nakład tej książki nie rozeszedł się i Ryńca był wściekły.

Ale pana „Sprzysiężenie” rozeszło się błyskawicznie.

Po tygodniu książek zabrakło w księgarniach, ale awantura była straszna. „Sprzysiężenie” anonsował „Tygodnik Powszechny”, więc zamawiali je księża, zakonnicy i zakonnice. Nagle się okazało, że jest to „pornografia”. Ale proszę to słowo napisać w cudzysłowie.

Czy pisząc pierwszą powieść, wzorował się pan na jakimś autorze lub książce?

Nie. Sam wymyśliłem fabułę. Zbliżała się wojna, są dwaj przyjaciele, nieudane narzeczeństwo, spisek na życie Hitlera. Występuje też Giedroyc i jego „Polityka”, sporo o muzyce i polityce. Mischmasz.

Czy „Sprzysiężenie” miało wznowienia?

Tylko raz, bodajże w 1957 r., wydało je Wydawnictwo Literackie w Krakowie. A kiedy książka się ukazała, znowu wybuchła awantura.

Drugi raz o to samo?

Wezwał mnie abp krakowski Baziak, ale potraktował łagodnie. Napisałem mu, że żałuję, i na tym się skończyło.

W okresie okupacji Stefan Kisielewski pracował w konspiracyjnym Polskim Radiu, którego dyrektorem programo-

Michnik z Geremkiem zrugali mnie, że zdradzam Turowicza.

Powiedziałem, że nie zdradzam, bo ślubu z Turowiczem nie brałem

wym był prof. Kazimierz Kumaniecki „Kozakiewicz”. Podlegały mu dwa wydziały – Audycji Słownych i Muzyczny. Kierownikiem Wydziału Muzycznego był Stanisław Golachowski „Staś”. Podlegały mu referaty Muzyki Poważnej, prowadzony przez „Rom” (N.N.), i Muzyki Mechanicznej, kierowany przez Olgierda Straszyńskiego „Olgierda”. Zapytałem pana Stefana, czy był w zespole dyrygenta Straszyńskiego. Nie chciał rozmawiać o dniach przed wybuchem powstania i o swoim udziale w powstaniu.

Odtworzyłem już później, że 28 sierpnia 1944 r. obowiązki dyr. Kumanieckiego przejął zwolniony z więzienia na Pawiaku prof. Andrzej Tretiak. Zespół Polskiego Radia miał przygotowane trzy miejsca oczekiwania w razie wybuchu powstania: w sklepie materiałów piśmiennych „A. Rudnicka” (Aleksandry, żony dyrektora PR) przy ul. Marszałkowskiej 120, róg Sienkiewicza, w mieszkaniu Marii Ponikowskiej na drugim piętrze oficyny przy Krakowskim Przedmieściu 7 (tam przechowywana była radiostacja Polskiego Radia) i w zakonspirowanym studiu nagrań na szóstym piętrze hotelu „Polonia”, z wejściem od ul. Poznańskiej 38 (od pierwszych minut powstania hotel był opanowany przez Niemców).

1 sierpnia kamienica przy Krakowskim Przedmieściu 7 została odcięta w Godzinie „W” od powstańców. Przebywali w niej, oprócz dyr. Rudnickiego i właścicielki mieszkania Marii Ponikowskiej, dr Maria Żebrowska, Nelly Horecka, Joanna Gorczycka (właściwie Nelly Khuen-Kryk), prof. Tretiak (wyszedł na obiad przed Godziną „W” i już nie wrócił, zatrzymany przez Niemców, został 3 sierpnia rozstrzelany przy Nowym Zjeździe 5) i Zenon Skierski. Stefan Kisielewski dołączył do nich ostatni, po godz. 17.

5 sierpnia Niemcy, po wypędzeniu mieszkańców, podpalili domy przy Krakowskim Przedmieściu. Dyrektor Rudnicki z Marią Ponikowską, Joanną Gorczycką (Horecką) i Zenonem Skierskim, złapani, stanowili osłonę dla Niemców

zbierających swoich rannych żołnierzy w Ogrodzie Saskim. Udało im się szczęśliwie przedostać z Ogrodu do powstańców.

W oficynie kamienicy pod nr 7 pozostała Maria Żebrowska, opiekując się zranionym Stefanem Kisielewskim. Wyszli oboje z palącego się kwartału kamienic. On wywieziony został przez Niemców z ludnością cywilną. Zbiegł z transportu kolejowego w Skierniewicach. Radiostacja Polskiego Radia pozostała w opuszczonym i wkrótce potem spalonym mieszkaniu.

Następnego dnia wróciliśmy do tematu muzycznego.

MACIEJ KLEDZIK: Jakie utwory skomponował pan w czasie okupacji?

Kilka, w tym „Koncert na orkiestrę”. Spłonął w powstaniu razem ze wszystkimi utworami skomponowanymi w czasie pobytu w Paryżu.

Nie odtworzył ich pan z pamięci po zakończeniu wojny?

Tylko kilka. Jeden odtworzył pianista, który grał go na moje zamówienie w 1935 r. W powstaniu spłonęło bardzo dużo. Dwie symfonie, suita na orkiestrę, dwa cykle na fortepian, sporo pieśni.

Po zakończeniu wojny rzucił się pan do pisania.

Marian Eile zaczął w Krakowie tworzyć dziwny tygodnik o nazwie „Przekrój”. Ale zgłosiłem się za późno. Miał już skompletowany zespół. Dostałem u niego etat redaktora technicznego.

Nie zagrał pan długo miejsca w „Przekroju”.

Nie, bo mi to pismo nie odpowiadało. Zamieniłem je na „Tygodnik Powszechny”.

Ale już bez etatu, jako współpracownik.

Do 1949 r. byłem etatowym profesorem w krakowskiej Wyższej Szkole Muzycznej. Wylał mnie Włodzimierz Sokorski po wielkiej awanturze na zjeździe młodzieży artystycznej w Poznaniu. Zaatakowałem tam, udowadniając, że istnieje realizm w muzyce. Wybuchła straszna awantura, bo był tam delegat z Komitetu Centralnego. W 15. minucie po dyskusji podszedł do mnie rektor mojej uczelni i powiedział: „Przykro mi”. I wręczył wypowiedzenie z pracy.

Nigdy później nie odwoływał się pan od tej decyzji?

Napisałem odwołanie w 1957 r., ale odpisali coś mętneho. Teraz niedawno spotkałem Sokorskiego na spacerze w parku. Powiedział, że wyświadczył mi przysługę w Poznaniu, gdyż zajmo-

wałbym się wyłącznie muzyką, a dzięki niemu zająłem się polityką.

Upłynęło sporo lat od zjazdu w Poznaniu. Mógł pan już z nim spokojnie rozmawiać o tych sprawach?

Jeszcze przed wojną poznałem jego brata, kompozytora, i siostrę, żonę Mirosława Dąbrowskiego, bardzo dobrą śpiewaczkę. To była muzyczna rodzina.

Kolejna rozmowa przeprowadzona w szpitalu Przemienienia Pańskiego na warszawskiej Pradze w pierwszym tygodniu września 1991 r.

MACIEJ KLEDZIK: Co pan robił po rozpadnięciu zespołu i zawieszeniu wydawania „Tygodnika Powszechnego” w latach 1953–1956?

Stała pensja w Wydawnictwie Muzycznym miała żona. Udzielałem trochę korepetycji. Wśród uczniów był mój wychowanek ze Szkoły Muzycznej, Adam Walaciński.

Nie wszyscy, tak jak pan i Jerzy Turowicz, zaprzestali kontaktów z prasą komunistyczną. Paweł Jasienica, czyli Leon Lech Beynar, zaczął pisać dla Piaseckiego do prasy PAX.

Trudno tak powiedzieć.

Leopold Tyrmand napisał w pamiętniku, że gang Piaseckiego w zamian za nazwisko Jasienicy gwarantował mu bezpieczeństwo i dostatnie życie. Zatrudnili go w piśmie „Dziś i Jutro”.

To są marzenia Tyrmanda. Jasienica rzeczywiście zaczął u nich, wydał książkę, a potem zaczął się kłócić. Spotkał panią Julię Brystygierową [w tym czasie kierowała V i III Departamentem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego], zaczął się jej żalić, a ona mu powiedziała: „Dlaczego pan musi pisać w »Dziś i Jutro?«”. I zaczął pisać książki historyczne.

Czy to jedno pytanie zadecydowało o uwolnieniu się Pawła Jasienicy od dziennikarstwa i jego ucieczce w pisanie książek historycznych?

Ciągle kłócił się z Piaseckim, a Piasecki nieustannie powtarzał, że uratował mu życie. Rzeczywiście, w czasie procesu sądowego nie padło nazwisko Jasienicy.

Ale był aresztowany.

W kotle. Przewieźli go do Warszawy. Przesłuchiwał go Różański [Stefan, właściwie Goldberg, pułkownik kierujący Departamentem Śledczym Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego], a potem zaczęły się machinacje. A czy pan wie, że dziennikarze angielscy przekazali do Londynu informa-

cję o aresztowaniu Jasienicy, ks. Piwowarczyka i mnie? Potem to sprostowali.

A jak się zachował zespół redakcyjny „Tygodnika Powszechnego” wobec Jasienicy, gdy go wyłączono z procesu i przyjechał do Krakowa?

Jasienica od razu poszedł do kard. Sapiehy, wycofał się ze wszystkiego. Nie odwróciliśmy się od niego, bardzośmy go lubili.

W jakiej był pan formie psychicznej w latach stalinowskich?

W nie najgorszej. Duża przyjaźń z Gołubiewem, Stommą. U pani Starowieyskiej-Morsztynowej mieliśmy KaKaDu, czyli Katolicki Klub Dyskusyjny. Na spotkania przychodzili najwybitniejsi ludzie ówczesnego Krakowa, panowie Krzyżanowski, Kwiatkowski. UB nie czepiało się nas.

Jakie nadzieje wiązałyście w Krakowie ze zmianami politycznymi po 1956 r.?

Przyjechał Władysław Bieńkowski [wówczas dyrektor Biblioteki Narodowej] i zaczął opowiadać o Gomułce, o naszym wejściu do Sejmu, do Rady Państwa. Zaczynają się rozmowy z frondą z PAX, zaczyna się życie polityczne. Nagle Gołubiew proponuje: „A wiecie co, zrobmy Kisielea posłem”.

Mnie ustawili na Wrocław, Stommę na Kraków, Zawieyskiego na Warszawę, Markarczyka na Lublin, Gładysza na Tarnów.

I wygrał pan wybory do Sejmu.

Dostałem najwięcej głosów. Za mną byli Rapacki i Kulczyński. Weszło nas jedenastu. Były awantury, bo Kliszko [Zenon, najbliższy współpracownik Gomułki, wicemarszałek Sejmu PRL w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kadencji] nie zgadzał się na utworzenie poselskiego koła Znak.

Wszedł pan do sejmowych komisji planu, budżetu i finansów oraz do komisji kultury. Czy znajdował pan jeszcze czas na pisanie i komponowanie?

Dzieliłem czas na wszystko. Nadeszła koniunktura na ilustracje muzyczne do filmów, zacząłem pisać kryminały. Miałem zamiar napisać 12, ale Starewicz [Artur, polityk PZPR, poseł na Sejm PRL drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kadencji] mi nie pozwolił.

Dlaczego kryminały?

Bo kryminał to jest kryminał. Miłosz mnie namawiał na pisanie kryminałów. Wpisał mi dedykację na „Zbrodni w dzielnicy północnej”.

Teraz czyta pan w wolnych chwilach Jamesa Hadleya Chase’a – „Qui vivra, rira”, a także „C’est pas dans mes cordes”. Podziwiam, z jaką pasją!

To najlepszy, obok Simenona [Georges, Joseph, Christian, belgijski pisarz, napisał 450 powieści w języku francuskim], autor powieści kryminalnych.

Następnego dnia krótka rozmowa spowodowana pogarszającym się stanem zdrowia mego rozmówcy.

MACIEJ KLEDZIK: Był pan posłem, a nie mógł pan wydawać w kraju nawet kryminałów.

Byłem posłem i zabrano mi paszport służbowy. Dostałem go od ministra Trąpczyńskiego.

Z czego pan żył do 1972 r.?

Z czego się dało. I dostawałem honoraria z paryskiej „Kultury”. Giedroyc mnie drukował, tak jak przed wojną. Honoraria z Paryża przywoził mi Micewski [Andrzej, historyk, publicysta, poseł na Sejm PRL drugiej kadencji].

Od 1972 r. zaistniał pan ponownie felietonami w „Tygodniku Powszechnym”.

I zacząłem ponownie wyjeżdżać za granicę. Dali mi paszport. Miałem sporo odczytów w wielu krajach.

Jakby pan najkrócej zamknął okres 1972–1980?

Tolerowali mnie.

A która z pańskich dróg była w tym czasie najważniejsza?

Publicystyczno-książkowa z polityczną.

Stan wojenny...

Zaskakuje mnie w Australii. Po operacji w Warszawie zaprosili mnie polscy lekarze mieszkający w Australii. 13 grudnia zastał mnie w Melbourne, a dwa miesiące później byłem już w Paryżu. Przyjeżdżał do mnie Micewski i zastanawialiśmy się wspólnie, czy mam wracać czy nie wracać. I wtedy napisałem artykuł „Bić się czy nie bić!”. Jedyny, który Giedroyc odrzucił. Pani Toruńczyk umieściła go w „Zeszytach Literackich”.

Szarpały panem wątpliwości w Paryżu – wrócić czy nie wrócić? Czy pojawiła się taka myśl, że chciałby pan tam zostać?

Nie.

Ze względu na rodzinę pozostawioną w Polsce?

Nie, ze względu na robotę. A co ja miałem robić w Paryżu?

Komponować jak szalony. Tak jak w 1938 r.

Nie. W rezultacie wróciłem równo rok po wyjeździe, 22 lipca 1982 r. I proszę sobie wyobrazić, jak mnie powitali na lotnisku. Celnik poprosił, żebym mu wpisał



autograf i poprosił też o to mojego syna Wacka [już wówczas znanego pianistę], który po mnie wyszedł. Na lotnisku wszyscy prosili o autografy.

Wrócił pan do „Tygodnika Powszechnego”.

Ale nie pisałem przez dwa lata.

Nagle zrezygnował pan ze stałego miejsca w „Tygodniku Powszechnym”, od którego zaczynała lekturę większość czytelników. Bardzo nam brakowało pańskich felietonów.

Zaczęły się spory z redakcją...

W tym momencie do pokoju zapukał i wszedł redaktor Piotr Gabryel, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Wprost” ukazującego się w Poznaniu. Prowadził na łamach „Wprost” cotygodniowe rozmowy ze Stefanem Kisielewskim. Zostawiłem panów samych i poszedłem na spacer do przyszpitalnego parku. Po powrocie pan Stefan nawiązał do przerwanej rozmowy:

STEFAN KISIELEWSKI: Na czym polegały spory w redakcji „Tygodnika Powszechnego”? Młodzi redaktorzy zaczęli dodawać komentarze do moich felietonów. Zaczynały się od słów: „Drogi Kisielu”. Odpisałem, że nie jestem dla nich żadnym „drogim Kisielem”. Narosło.

Jerzy Turowicz, naczelny „Tygodnika Powszechnego”, którego pan znał i współpracował z nim przez 40 lat, nie interweniował, nie skarcił tych młodych?

Ostateczne rozstanie z nim i z redakcją nastąpiło na Uniwersytecie Warszawskim podczas pamiętnego spotkania z Lechem Wałęsą. Poprosiłem o głos i króciutko skrytykowałem Turowicza.

Pana wystąpienie nie zostało przekazane opinii publicznej. Kamera reżysera Sulika, filmującego spotkanie, nie zarejestrowała pana słów.

Powiedziałem, że jeżeli pan Turowicz nie zna innej koncepcji niż koncepcja pana Leszka Balcerowicza, to może czyta tylko „Tygodnik Powszechny”, a nie zna polskiej prasy, która wiele o tym pisze. Zaraz potem Adam Michnik z Bronisławem Geremekiem zrugali mnie, że zdradzam Turowicza. Powiedziałem, że nie zdradzam, bo ślubu z Turowiczem nie brałem. I teraz odpoczywam.

Po tych słowach nie było już najmniejszych wątpliwości, że nikt z „Tygodnika

Powszechnego” nie przyjedzie odwiedzić Stefana Kisielewskiego w szpitalu.

Po odejściu z krakowskiej redakcji przeniósł się do ukazującego się w Poznaniu tygodnika „Wprost”, którego kierownictwo wydawnictwa i redakcji stworzyło mu nie tylko honorowe miejsce w każdym numerze, lecz także ufundowało przyznawaną co roku Nagrodę Kisielewskiego. Każdy z nagrodzonych otrzymywał odlaną w brązie głowę Stefana Kisielewskiego, dyplom i nagrodę pieniężną, która w 1991 r. wynosiła ówczesnych 10 mln zł.

Z trzech nagrodzonych – Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jerzego Grohmana i Bogusława Bagsika – ten ostatni nie odebrał Nagrody Kisielewskiego. Uprzedzony wcześniej, że zostanie aresztowany za przekupstwo urzędników i wykorzystywanie tzw. oscylatora do zwielokrotniania posiadanego kapitału, uciekł 1 sierpnia z kraju wraz z rodziną do Izraela. Zapytałem pana Stefana, czy zamierza laureata uciekiniera zamienić na kogoś innego. Spojrzał na mnie zdziwiony. Zaprzeczył. Dwa miesiące wcześniej, w lipcu, zaakceptował do nagrody swego imienia najbłyskotliwszego w kraju, nie tylko jego zdaniem, biznesmena. Na liście najbogatszych Polaków, prowadzonej przez tygodnik „Wprost”, Bogusław Bagsik zajmował w 1991 r. ósme miejsce.

Dobiegał końca mój pobyt w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Dzięki lekarzowi prowadzącemu, dr. Chrobakowi, który śledził i monitorował postępy światowej medycyny, udało mi się sprowadzić z Londynu niedostępne jeszcze na polskim rynku lekarstwo, które zahamowało rozwój mojej choroby. Tego dnia odbyła się nasza ostatnia rozmowa.

MACIEJ KLEDZIK: *Czy nie wydaje się panu, panie Stefanie, że będąc obdarzonym trzema talentami, nie do końca wykorzystał pan ten, który był dla pana najważniejszy?*

Słusznie. Nie wykorzystałem.

Który?

Muzyczny.

Dlaczego?

Z głupoty. Pociągały mnie pisarstwo i polityka.

Dla zdobycia popularności?

Nie, po co mi popularność. Chciałem pisać, opisać rzeczywistość.

I udało się?

Częściowo.

Dlaczego częściowo?

Bo ludzie są zajęci teraz czym innym. *Stracił pan czas, który można było poświęcić muzyce.*

Nie. Ale już za późno.

A 30 lat temu?

Sam się zastanawiam. Nie wiem.

Czy zmarnował pan część życia?

Nie, coś niecoś zrobiłem.

A mógłby pan zrobić więcej?

Więcej skomponować, uprawiać lepszą publicystykę polityczną.

Jeszcze lepszą? Pana felietony polityczne były nie do dośnięcia przez konkurencję.

Nie wiem, lepszą.

Co uważa pan za swoje najważniejsze osiągnięcie w życiu?

Powieści.

Którą z nich za najlepszą?

„Widziane z góry”, potem „Cienie w pieczarze”. I jeszcze „Sprzysiężenie”.

A z dzieł muzycznych?

„Trzecią Symfonię Kameralną”, „Kosmos na orkiestrę” i „Spotkania na pustyni”.

A jak pan ocenia swoje najmłodsze dzieło – „Koncert fortepianowy”?

Nie wiem jeszcze, czy dobry.

Co chciałby pan jeszcze opisać?

To, co Polska przeszła za mojego życia.

W dużym stopniu już pan to zrobił w swoich książkach, artykułach i felietonach.

Tak, ale chciałbym to zrobić bardziej sugestywnie. To ciekawe. Znałem wielu ludzi.

Po moim wyjściu ze szpitala decyzją kierownictwa Ministerstwa Zdrowia Stefan Kisielewski przeniesiony został do Centralnego Szpitala Klinicznego przy ul. Banacha w Warszawie. Tam zdążył obejrzeć telewizyjną transmisję swojego „Koncertu fortepianowego”. Kiedy go odwiedziłem, był już bardzo słaby, mówił z trudnością.

Ostatnimi osobami, które go odwiedziły 27 września, byli syn Jerzy i redaktorzy Marek Król z Piotrem Gabryelem z kierownictwa tygodnika „Wprost”.

Zmarł kilka godzin po ich wyjściu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwszy, niepełny zapis przeprowadzonych przeze mnie rozmów ukazał się w nr. 2416 (24/1991) tygodnika „Przekrój” pt. „Ostatnia rozmowa z Mistrzem – Trzy drogi Stefana Kisielewskiego”.